

Ludwiczak Barbara

Teodycea

Z „Science Fiction” nr 19 – październik 2002

I.

- Zupełnie jakbym była żoną latarnika - westchnęła Silvia. - Cały dzień sama, na środku oceanu, gdy on zmienia wszechświat. Zabawne, że zawsze określa tak swoją pracę; mówi: „Zmieniam wszechświat” - nigdy nie precyzując, w co go właściwie przemienia... Może sam nie wie... A przecież wszystko mu się udaje... Glukuteryzywał ocean, zbudował niezliczone mile hydrostrad... Zresetował pogodę i ustalił optimum środowiskowe dla Tagenonu... Wszechświat gnie się wedle jego woli, jak ta stalścianka pod moimi palcami... Może z tą jedną jedyną różnicą, że kiedy ja doskonale wiem, jaki ma być efekt końcowy, on po prostu...

- Nie! Nie powinnam tak myśleć... Nenio, czemu mnie nie napominasz? Jesteś tylko kolejną formą chloroplazmy, choć potrafisz rzeźbić nie gorzej ode mnie i nie masz pojęcia, co to stalścianka, barwiczek i dłuta metanowe. Nie rozróżniasz barw, bo nie posiadasz oczu, nie rozumiesz, co do ciebie mówię, bo nie masz mózgu, ani uszu, a na ograniczoną liczbę poleceń, jaką wyłapują twoje płazorzęski, reagujesz systemami odruchów anankastycznych... Nie zdajesz sobie sprawy, jak piękne rzeczy potrafisz czasem stworzyć... - Silvia jednym ruchem ręki zwinęła narzędzia.

Surowe ściany otaczające jej megaron (cztery megality wspierające dach sprowadziła aż z Ziemi) zaczęły się wyginać i słabo iluminować, przechodząc przez kolejne stadia programu. Spoity się z pozostałymi elementami i przez krótką chwilę tańczyły przed kreatorką, nim klasnęła, nakazując im zastygnąć w wybranej pozie. Oto praca ostatnich ośmiu lat... Ciekawe, czy Cadaver zauważy... Lepiej zalogować się i wybrać mu obiad. Na pewno będzie głodny. Sprawnymi ruchami otworzyła ukrytą w fontannie konsolę i zamówiła cztery standardowe zestawy...

Silvia była żoną Cadavera od ponad sześćdziesięciu lat i doskonale wiedziała, czym sprawić mężowi przyjemność. Cadaver miał pewną słabość, z powodu której zgłukuteryzował ocean; lubił morskie warzywa... Wrodzona wstrzeźliwość wzbraniała mu zbudować własny akwen na planecie, której dziewięćdziesiąt siedem procent stanowił panocean, więc jego żona prawie codziennie odwiedzała podwodną łąkę nieopodal domu w poszukiwaniu świeżego jaszczynu i tagenońskich przegrzebków... Klonowane traciły swój niepowtarzalny bukiet, lichy wie, dlaczego...

Szybko oczyściła dłonie z luminescencyjnej farby, zarzuciła na siebie interaktywny płaszczyk (podziwiając przez ułamek sekundy swoje zgrabne, młode ciało) i przemknąwszy pod megalityczną bramą domu, wybiegła na taras. Tuż za nią płynęła w powietrzu salaterka z zieloną galaretowatą substancją - oprogramowanie naczynia uniemożliwiało Neniu zanurzenie w oceanie, więc wylądowała miękko na brzegu, czekając na swoją panią. Silvia delikatnie założyła „skrzela i soczewki Cadavera”, zestaw gadżetów, który jej mąż wynalazł do penetracji morskich głębin i, odbiwszy się zgrabnie, wskoczyła do wody. Temperatura oceanu zgodnie z optimum środowiskowym nie wywoływała szoku, toteż Silvia płynęła swobodnie, chwyciwszy się nurtu, dopóki nie zaprowadził ją na łąkę. Tam gęstość cieczy ulegała zmianie (zgodnie z optimum środowiskowym) i Silvia mogła rozprostować kości, nim zabrała się do zrywania gąbczastych jaszczynów i innego morskiego zielska. Wkrótce zebrała ich całe naręcza i coraz trudniej jej było, schylając się po przegrzebki, omijać złowrogie kolonie *murex maleficus*. Była to jedyna forma życia jaka przetrwała glukuteryzację; mutacja wymusiła tylko zmianę nazwy - niegdyś zwano ją *murex mellifer*. Łasy na słodkości Cadaver skłonił ją w tej formie do ogólnodostępnych akwenów i swego prywatnego zbioru, podobnie jak pozostałe zagrożone gatunki. Kolekcjonerzy w całej galaktyce polowali na te okazy i inżynierowie z White Sky Line nieźle się obłowili (Cadaver, główny dyrektor techniczny, mógł pozwolić sobie na zakup dziesiątej części planety i sprowadzanie z odległej Ziemi megalitycznych gładów do megaronu swej żony).

Woda zadrżała. Mechate płaszczki i srebrzyste mureny (zupełnie bezbronne i pozbawione agresji) czmychały przerażone wraz z całym podwodnym tałatajstwem i Silvia już wiedziała, że wraca mąż. Weszła na wyrzutnię oxigenową i wystrzeliła w górę w aureoli tlenowych bąbelków. Miała nadzieję, że Cadaver zobaczy ją taką, mokrą, śliską i rozplonioną od rwania glonorostów, ale on dopiero wlatywał w stratosferę.

Na brzegu Nenia wyczyniała harce; ona też, dzięki swym płazorzęskom, wyczuwała drgania powietrza i cieszyła się na powitanie pana. Wzbiła się do góry na szesnaście stóp i mało nie zderzyła z potężnym mitsubishi pajero z dwudziestego wieku (oryginalna forma ścigacza Cadavera zawsze i wszędzie robiła duże wrażenie), który właśnie wychylił się zza chmur.

Silvia spoglądała z upodobaniem na szerokie bary i masywny kark męża, jak leniwie rozciągał mięśnie i wystawiał bujne, długie włosy oraz ciemną skórę na wiatr i opalizujące światło trzech gwiazd Moreaux. W tym momencie zajęty był opędzaniem się od natrętnej Nenii i Silvia pomyślała, że jest próżny, że mężczyzna o jego wyglądzie musi być pewny siebie i próżny... Myśl ta (zupełnie irracjonalna dla epoki, a właściwie epok, w których żyła, gdy dzięki osiągnięciu optimum genetycznego nie było ludzi brzydkich ani starych, nie mówiąc o jakiegokolwiek formie upośledzenia, chorób czy dolegliwości, a wszyscy mogli żyć dopóki im się to nie znudziło) napełniła ją niepokojem.

- Zerwałaś mi glonorosty? - spytał.

- Błyskotliwe spostrzeżenie. Może byś tak pomógł mi wnieść je do domu?

- Powiniennem skonstruować jakąś taśmę nośną lub może hydroniczny tunel... To dałoby się...

- Mój drogi, ja cię nie proszę o hydroniczny tunel, tylko żebyś mi pomógł z tymi skorupiakami...

- Jasne, tylko schowam pajero...

Zwykle Silvia lubiła obserwować, jak wielki wóz zanurza się w wodach ich oszklonego basenu u stóp wzniesienia, dziś jednak była nieco zniecierpliwiona, zwłaszcza że przegrzebki jeszcze żyły i musiała je wyłapywać po całym tarasie. Na szczęście Nenia przysłała jej z pomocą.

- No, jakoś sobie jednak poradziłaś - stwierdził Cadaver, a Silvia pomyślała, że choćby minęły eony pewne zachowania mężów i tak nie ulegną zmianom. Może dałoby się to zmodyfikować genetycznie? W końcu skoro doczekaliśmy się łagodnych muren i bezbronnych rekinów...

- Wreszcie wykończyłaś ściany! - Radosny okrzyk wyrwał ją z zamyślenia.

- Podobają ci się?

- Są wspaniałe, nie sądziłem... - Cadaver widział wiele rzeczy. Widział, jak powstawały i jak umierały gwiazdy, jednak w czasie swego długiego żywota, nigdy nie oglądał czegoś, czego widok odebrałby mu mowę. - Od lat powtarzam ci, że masz talent - powiedział wreszcie. - Wielki talent, Silvio... Gdybyś tylko zechciała lepiej go wykorzystać...

- Lepiej niż do dekoracji naszego domu?

- Wiesz o co chodzi; gdybyś tylko zechciała, mogłabyś tymi pracami rzucić galaktykę na kolana... Lamia Richards...

- O tak, mogłam się domyślić, dokąd zmierzasz! Lamia buduje hydrostrady, Lamia programuje pogodę w trzech kwadrantach! Lamia prowadzi dom otwarty i salon postneohaikowców! Lamia angażuje się w politykę i średnio co pół wieku decyduje się obdarzyć wszechświat potomstwem, wychowując je na takich samych niestrudzonych budowniczych kosmosu jak ona sama!

- No i co w tym złego! Lamia zmienia wszechświat, jest moją szefową; do kobiet jej pokroju należy przyszłość! - Zacerwienił się, zmiatając resztę posiłku do kosza. - Może zaprzeczysz?

- Nie mam zamiaru... - Wstała, klasnęła w dłonie, pozwalając, by ściany zachwiały się w swym tańcu. - Chcę tylko, byś zrozumiał, że nie każda kobieta rodzi się Lamią... - ściszyła głos - że ja nie jestem Lamią... I nigdy nią nie będę...

- Dla nas „nigdy” nie istnieje, zapomniałaś?

Mogę zrezygnować, jeśli zechcę... - Podeszła do fontanny. W wątłym świetle konsoly jarzyły się matryce osobowościowe jej i Cadavera. Wąskie szpikulce broniły do nich dostępu. Cadaver musiał odgadnąć jej myśli, bo stanął za nią i powstrzymał rękę sięgającą w głąb fontanny...

- Kochanie, nigdy bym ci na to nie pozwolił... - Ucałował dłoń o palcach zbyt smukłych, by mogły być efektem działania sił natury. - Zresztą, pracuję teraz nad nowym projektem... Zamierzamy wyeliminować niebyt... Nie, źle się wyraziłem, zamierzamy umożliwić duszy powrót z niebytu, jeśli jej się tam znudzi. Rozumiesz, kochanie, nie będzie już śmierci; będziemy mogli wybierać formę przeżywania wieczności...

Silvia zastępną pod dotykiem jego dłoni. Przebiegła w myślach setki lat, które dane było jej przeżyć, setki przyjaciół, których straciła, bo nie potrafili dostosować się do zmian, bo tęsknili za przeszłością. Czy teraz będzie mogła ich odwiedzić? Czy możliwe będzie zanurzenie w niebycie? Przejście na drugą stronę? Powrót do życia?

- Oczywiście to zajmie nam jakiś czas... Może wiek... Może wieczność... Widzisz, jakie szczęście, że mamy przed sobą nieskończoność... Niegdyś ludzie nie mieli takiego wyboru; żyli krótko i szybko umierali, a dorobek i bogactwo ich umysłu ginęło wraz z nimi...

- Tak... - Silvia pomyślała o Botticellim i Leonardzie, i o tych nieznanym, zapomnianym twórcach starożytnych budowli, skarbcu Atreusa i pałacu w Knossos. - Ale oni też potrafili stworzyć piękno, było ono może gwałtowniejsze od naszego, ponieważ tkwiła w nich świadomość przemijania, rychłego końca, chęć pozostawienia po sobie czegoś... czegośkolwiek...

- To samo pragnienie usprawiedliwiało każdą zbrodnię! - zniecierpliwiał się Cadaver... Jego żona myślała o Herostratesie, lecz nie wypowiedziała tej myśli głośno; byłby to zbyt banalny przykład. - Co za barbarzyństwo! - grzmiał Cadaver.

- A czy ty nie byłbyś barbarzyńcą, gdybyś wiedział, miał pewność, że umrzesz, że każda minuta, każda sekunda przybliży cię do niebytu... Że twoje ciało z każdą chwilą starzeje się, że nie będziesz mógł go odnowić, zresetować, że się nie sklonujesz ani wrócisz z krainy cieni?

- Teoretyzujesz... Trzeba być praktycznym" jak...

- Wiem... jak ty i Lamia Richards... Zawsze ta Lamia, dlaczego się z nią nie ożeniłeś, skoro tak ją podziwiasz, skoro dzielicie wspólne marzenia, co więcej realizujecie je." ..

Zależy mi tylko na tobie - odpowiedział, a ona kobiecą intuicją, której nie zdołały zatrzeć miliardy mutacji, odgadła, że Cadaver, choć szanował swą szefową, nie chciał zostać jej mężem... Ale przecież i w pracy Lamia rozkazywała mu i ze zrozumieniem wykonywał jej polecenia... Praca a dom to dwie różne sprawy i Silvia w przebiegu geniuszu zawsze wiedziała, że w głębi duszy Cadaver nie chciał, by jak Lamia zmieniała świat... Nie mógłby wówczas jej do tego namawiać i napominać... No i co mogłoby się okazać, gdyby nagle zaczęła rywalizować z nim w walce o karierę i sukces... Nie, dla jego dobra, nigdy tego nie zrobię - pomyślała.

II.

Odkąd sięgała pamięcią, Cadaver większość czasu spędzał w starym laboratorium ojca, wypełnionym preparatami, odczynnikami biochemicznymi i symulatorami środowiskowymi. Był tak przywiązany do panującej tam atmosfery, że przed przeprowadzką na Tagenon skopiował je w całości, mimo iż jego zawartość stawała się z biegiem czasu i postępem nauki zupełnie bezużyteczna. Traktował je jak muzeum i kompendium wiedzy o przeszłości, o której większość neoantropidów wołałaby zapomnieć.

Żyli w epoce posthistorycznej i znali jedynie teraźniejszość, wieczną i nieskończoną; ale sam fakt istnienia iluś set poprzednich tysiącleci, wyprowadzał ich z równowagi. Te wieki ciemne i barbarzyńskie nie miały nic wspólnego z ich erą - czasem podboju wszechświata. Oczywiście, żalowali tych wszystkich umysłów, zmarnowanych i pozbawionych możliwości dalszego rozwoju, choć większość z nich doznawała przy tym przykrego uczucia niesmaku na myśl, że pochodzą od przerośniętych małpiatek. Przede wszystkim byli odkrywcami i wszystko, co napotykali w kosmosie utwierdzało ich w przekonaniu, że są najlepiej rozwiniętą formą najdoskonalszego z gatunków...

- Tyle razy ci powtarzałem! Czy naprawdę nie możesz zrobić tego, o co cię proszę?!

- Nie krzycz. O co chodzi?

Cadaver stał nad świeżymi sadzonkami. U jego stóp iskrzyły się niewielkie glonopodobne twory, siostry i bracia Neniei. Na czubkach ich zielonych ramion migły mokre jeszcze wypustki. Cadaver badał je właśnie za pomocą długiej, krętej igły. Z wyrazu jego twarzy, z tej podłużnej zmarszczki na czole wnioskowała, że ma czuć się winna.

- Tyle razy cię prosiłem, żebyś podlewała je raz dziennie, tylko raz dziennie, czy to przerasta...

- Proszę. Były takie biedne; trzęsły się z zimna i wyciągały te swoje czułki...

- Nibynóżki. Ustaliłem optymalny program nawilżania właśnie po to, aby nie osiągnęły sześciu stóp długości i nie zaplątały się we własne odnóża.

- Ale puściły nowe pędy...

- Za szybko. Nagła zmiana pogarsza jakość nowych wypustek. Nie są całkiem rozwinięte; trzeba będzie przyciąć połowę...

- Nie, proszę; są takie śliczne...

- Dobrze. - Spojrzał na nią. Silvia rzadko prosiła. Prawda, nie miała o co. Była samowystarczalna. No i, poza przekarmianiem, nie miał jej nic do zarzucenia; jeśli chodzi o opiekę nad sadzonkami to zajmowała się nimi nawet z większą troską niż on sam. Wynałaza pięć witamin do mieszanki odżywczej, dzięki czemu ich derma zyskała nowy połysk.

Dobrze - powtórzył. - Znajdę inny sposób. Ale w zamian za to chcę, abyś poszła ze mną do Richardsów. Otworzyliśmy nową hydrostradę i chcieliśmy to dzisiaj uczcić. Nie wspominałem o tym wcześniej, bo... no cóż... wiem, co myślisz o Lamii i Nehemiaszu...

- Nie przepadam za Richardsami... Ale pójdę z tobą...

Przyglądał się jej przez chwilę. Światło reflektora czyniło jej klasyczne rysy jeszcze bardziej wyrazistymi, zaś cerę bledszą, nieomal przeźroczystą. W świecie ludzi doskonałych uroda nie robiła wrażenia. Również niezwykła karnacja była raczej regułą niż wyjątkiem, skóry neoantropidów prawie nigdy nie oświetlało macierzyste słońce ich przodków. Nie, nie chodziło ani o rysy twarzy, ani o spojrzenie szarych oczu, tylko o pewien szczególny wyraz skupienia...

Nachylała się nad małą plamką plazmy C 241. Wciąż usiłowała pobudzić ją do życia, choć przekonywał, że to bezskuteczne. Ceniła jego wiedzę i doświadczenie, uważała go za autorytet w tej dziedzinie, więc nie rozumiała, dlaczego ponawiała próby...

III.

Lamia i Nehemiasz Richardsowie lubili komfort i wygodę. Byli przeświadczeni, że są to luksusy nieosiągalne na twardym gruncie. Dlatego ich posiadłość rozciągała się na czterdzieści arów w jonosferze. Przypominała wielką fortecę wzniesioną ponad lasem chmur. Nad murami bastionu wznosiła się pojedyncza wieża. Na szczycie znajdowało się laboratorium, w jego górnych partiach grawitację włączało się tylko na życzenie. Tam znajdowało się królestwo Nehemiasza Richardsa, który, w przeciwieństwie do swej przedsiębiorczej żony, nie miał zwyczaju udzielać się społecznie, politycznie czy kulturalnie. Nehemiasz nie wychylał nosa poza własną wieżę. Pracował bez wytchnienia, nie śpiąc i nie jedząc. Zmieniał somaty co pięćdziesiąt lat, ich siły szybko się wyczerpywały. Zagadką pozostawało, kiedy znajdował czas dla żony; w White Sky Line podejrzewano, że spotykali się tylko wtedy, gdy ona przychodziła nadzorować jego badania. Lamia miała czas na wszystko. Była najlepiej zorganizowaną osobą w galaktyce. Właśnie otwierała hydrostradę, nowe ujęcie wody dla Sepia 45, najnowocześniejszej stacji kosmicznej orbitującej wokół trzeciego słońca Moreau; jednostki, której populacja sięgała prawie czterysta miliardów osób. Liczyła, że zostanie prezydentem galaktyki i prawdę mówiąc, miała na to spore szanse.

Wyszła powitać Silvię i Cadavera odziana w swój najlepszy, atramentowy kostium, suknia miała barwę tagenońskiego oceanu. Z lewej skroni Lamii wyrastały trzy lśniące różki - repliki gwiazd Moreaux - symboli galaktyki. Nie omieszkła zwrócić na nie uwagi, na wszelki wypadek, gdyby jakimś cudem goście to przeoczyli...

- Zobaczcie, to nowy pomysł Nehemiasza... Liczę, że zrobi furorę...

Czy to wczesialna biżuteria? - spytała grzecznie Silvia.

- Raczej wszczepialna, moja droga. Dokonuje się iniekcji, a potem skóra sama generuje pożądane kształty... - Odchyliła rude loki, aby mogli lepiej się przyjrzeć. Miała wąskie palce i szmaragdowe paznokcie, pod wpływem ciepła zmieniały barwę na szkarłatną. - Nie macie pojęcia, czego dokonałam! Udało mi się ściągnąć Nehemiasza z wieży!

- Brawo! - Cadaver był poruszony. - Ostatni raz zszedł stamtąd jakieś czterdzieści lat temu...

- Ponad siedemdziesiąt, dokładnie siedemdziesiąt pięć, Cadd...

Cadd?! - zdziwiła się Silvia. Zakotwiczyli pajero w niewielkiej zatoczce. Sala główna wyglądała jak gigantyczny spodek z widokiem na stację Sepia 45.

Przy stole czekał już na nich wysoki, pająkowaty brodac; jego cera była seledynowa, a oczy jarzyły się niczym błędne ogniki nad trzęsawiskiem. Lamia podeszła do niego i pocałowali się, niezbyt namiętnie, ale czule.

W tej samej chwili powietrze przeciął przenikliwy świst. Na podłogę spadł deszcz meteorytów, po czym gdzieś spod sufitu wyskoczył mały chłopiec. Ubrany w przydługie biochemiczny fartuch prześliznął się po posadzce tuż pod nogami zaskoczonych gości. Za nim wybiegła dziewczynka, niewiele wyższa, wymachując zawzięcie czymś, co przypominało niewielką, naprędce skonstruowaną, kuszę...

- Maamoo! - wrzeszczała. - Poszłam spać i popatrz, popatrz, co mi zrobił!

Spomiędzy jasnych kędziorów wystawały małe różki. Lamia sięgnęła do eleganckiej torebki, skąd wydobyła dwa małe plasterki.

- Ja go zdematerializuję! - Dziewczynka wyrwała się matce i wycelowała kuszę w brata. Niestety, spryciarz uchylił się, i trafiła Cadavera w policzek.

Lamia załamała ręce. Teraz nie wyglądasz wcale na najlepiej zorganizowaną kobietę w galaktyce - pomyślała Silvia ze złośliwą satysfakcją.

- Moja twarz! - krzyknął Cadaver. Tysiąc luster odbijało pomarańczową plamę na jego policzku. Lamia spieszenie przemywała ją granatową substancją.

- Nic ci nie będzie, o ile nie zamierzasz się w najbliższym czasie resomatować - pocieszała go.

Popatrzył na swoje szerokie bary.

- Ta somata mi odpowiada. Poza tym, jest jeszcze świeża.

- Po prostu nie jestem w stanie dojść z nimi do ładu! - pomstowała, podczas gdy jej dzieci demolowały salon. - Nehemiaszu, zajmij się nimi!

- Słuchajcie! - Richards krzyknął tak donośnie, że na chwilę zaprzestali walki, popatrując na niego z zaciekawieniem. Prawdopodobnie dziwiła ich sama obecność ojca na dole. - Ogłaszam konkurs. Zadanie: zmutować żywy organizm. Liczy się najciekawszy wynik. Macie czas... - Podrapał się po głowie. - Do końca kolacji. Do roboty.

Dzieci popędziły do wieży. Miały tam własne, małe laboratorium, gdzie wykonywały dla ojca drobne prace; najczęściej zajmowały się żmudnym wyszukiwaniem danych. Czasem Nehemiasz umieszczał ich imiona w opisach swoich prac. Byli zapewne najmłodszymi naukowcami w galaktyce. Wyglądali na jakieś cztery, pięć ziemskich lat, lecz rodzice musieli nieco podrasować im umysły; pracowały zbyt szybko, nawet jak na neoantropoiczne standardy, gdzie każda nowa istota była destylatem najlepszych cech genetycznych.

- Wykończyły mnie - westchnęła Lamia. - Tylko Nehemiasz potrafi nad nimi zapanować.

- To kwestia nudy. Przy takim tempie rozwoju potrzebują stałej aktywności. Trzeba im dać zajęcie. Dziś zszedłem i zostawiłem je same...

- Zwal wszystko na mnie! Raz na sto lat możesz przecież usiąść z gośćmi do kolacji. Wszechświat się od tego nie zawali. Wiem to, jestem twoją szefową.

- Taak... - mruknął, po czym nałożył sobie obfitą porcję *murex mellifer*. - Gdybym wiedział, że są takie pyszne, spróbowałbym już dawno temu... Stanowczo muszę znowu zacząć jeść...

- Mógłbyś także spróbować się czegoś napić - zasugerowała Silvia.

Cadaver spojrzął na żonę, potem podniósł się:

- Chciałbym jeszcze raz obejrzeć Sepię.

Lamia posłała mu jeden ze swoich modelowych uśmiechów, których wirtualne odwzorowania widniały we wszystkich portach i stacjach w całej galaktyce.

- Słusznie. Ja też nigdy nie mam tego dosyć. - Zamknęła oczy i Silvia wiedziała, że wydaje polecenie. Niewielu neoantropidów zakładało sobie stałe łącze z siecią, nawet Cadaver nie zdecydował się na to, mimo że gwarantowało ono całkowitą nieśmiertelność (obdarzona świadomością część osobowości miała żyć już naprawdę po wsze czasy, choćby istniejącej reszcie zdruzgotała się egzystencja).

Ściany rozsunęły się i salon utonął w mroku, jedynym źródłem światła były teraz srebrzyste reflektory Sepii 45.

- Spójrzcie, stąd miliardy nas wyruszą na podbój nowych gwiazd. Ofiarowaliśmy sobie wieczność, aby spełniło się marzenie, marzenie tego, co niegdyś nazywane było ludzkością... Dziś nie ma już czegoś takiego, nie ma nazwy „ludzkość”, nie ma trzecio osobowego abstraktu, jesteśmy my, my wszyscy... To nie ludzkość zdobywa świat, to my go zdobywamy. Nie dla wymagowanych „innych”, dla siebie... Nie ma „innych”, jesteśmy my - powtórzyła Lamia, pod jej przymkniętymi powiekami przemykał kosmos...

Jest nadzwyczajna, prawda? - mówił wzrok jej męża, wyczuwała w nim podziw i szacunek i coś jeszcze... zazdrość? Połączenie dawało nieskończone możliwości, choć Silvia odgadła, że Cadaver zazdrości nie straconych szans, lecz jej odwagi i zdecydowania...

Lamia otworzyła nagle oczy, szeroko, szerzej niż trzeba...

- Dzieci wzywają nas na górę. - Pstryknęła palcami. Podłoga uniosła się i popłynęła razem z fotelami. Sufit rozwarł się nad nimi, pozwalając, by przepłynęli przez niego jak stułbia rozwijająca się w meduzę. Lekko wirując, osiedli na trzeciej kondygnacji.

Laboratorium Nehemiasza było olbrzymie; przypominało wielką fabrykę wymazaną fluorescencyjną farbą. Pod sam sufit piętrzyły się akwaria wypełnione genetycznymi preparatami. Mutacje prehistorycznych głowonogów spoglądały na nowo przybyłych, ponadnaturalnie rozdęte bądź przeciwnie, kostycznie zrogowaciałe, przyszpilone igłami lub pływające w mrozących roztworach. Obwisłe, pokryte mackami ramiona rzucały długie cienie, łącząc się ze smukłymi sylwetkami antropoidów. Wyglądało to jakby wielkie pająki przemykały między ptasimi szponami ogromnych, lecz od wieków martwych drapieźców.

Na środku stał szeroki stół prosektoryjny, rażąc metalicznym blaskiem. Silvia z łatwością rozpoznała płytkie salaterki. Alba Richards wstrzykiwała im jakąś substancję.

- Dobrze, że jesteście - stwierdziła. - Zobaczycie, co ten idiota zrobił ze swymi sadzonkami...

- Steven?!

- Jestem tu, mam. - Chłopiec wykaraskał się spod stołu. Miał markotną minę. - Nie udało się...

- Mało powiedziane - prychnęła Alba. - Nasz Einstein podlał je wodą ze swego podręcznego reaktora jądrowego... Jakoś nie skojarzył, że formy młodociane są szczególnie podatne na promieniowanie. Zabija je jedna dziesiąta dawki uśmiercającej osobniki dorosłe. Te formacje już są wynikiem mutacji, mają łączone

DNA ssaków i roślin. Ssaki, jako najwrażliwsze, przestają się rozmnażać przy dawce 100 radów, z kolei rośliny są szczególnie podatne w okresie kiełkowania. Efekt - jego egzemplarze rozpadły się na atomy... - Wyjęta foremki pełne rzadkiej cieczy. Sadzonki Alby, piękne, wybujałe, przedwcześnie dojrzałe okazy pochylały się nad szczątkami braci, wyciągały ku nim ramiona, nurzając je w rozrzedzonej zupie.

- Ciekawe... - Nehemiasz zamyślił się. - Twoje sadzonki zdają się żałować swych braci...

- Są bardziej ruchliwe - wtrąciła Lamia - i mają jaskrawszy kolor! - piała z dumy, pochylając się nad córeczką. - Albo, pochwal się, jak tego dokonałaś...

- Mamo, ja po prostu skorzystałam z naturalnej zmienności mutacyjnej. Metodą empirycznej weryfikacji wyselekcjonowałam chromosomy, które miałam podwoić. To nie wyspecjalizowane sztuczne twory. Ich pula genowa charakteryzuje się szerokim zakresem zmienności...

- Szeroką normą reakcji - uściślił Nehemiasz.

- Tak. Uznałam, że w takich okolicznościach gatunek wykaże dużą plastyczność...

Silvia kręciła się niespokojnie. Może sprawiał to modulowany przez hełmofon głos, może gogle powiększające błękitne oczy do nienaturalnych rozmiarów, w każdym razie nie potrafiła długo patrzeć na tę małą...

Alba wręczyła sadzonce metalowy wskaźnik. Roślina lekko popukała nim w stół...

- Interesujące... - mruknął Nehemiasz. Przyglądał się przez chwilę uprawie, wreszcie spytał Cadavera: - Które wybierasz?

- 5 i 6 a . . . - Wskazał dwa splecione z sobą egzemplarze. - Rokują nadzieje...

Nehemiasz skinął na syna, dotychczas stojącego bezczynnie.

- Steven, odczynniki. Weźmiemy najbardziej prymitywne insektycyd. - Wstrzyknął środek roślince. Z początku nic się nie działo. Potem zaczęła migotać, usiłując zwalczyć truciznę... Zaciskała ramiona na swej siostrze...

- Jak uporczywie się jej trzyma! - krzyknął Cadaver. - Wyrazna reakcja emocjonalna!

- Jeszcze nie mamy pewności. - Nehemiasz wpatrywał się z napięciem w salaterkę, wyjął skalpel i zaczął spokojnie rozcinać zielone ramiona. Drżały pod ostrzem... Skażony egzemplarz gubił stare rżęski, jego ramiona stopniowo żółkły. Kiedy w rozpaczliwym wysiłku usiłował wypuszczać nowe wiązki, drugi osobnik zaczął dygotać...

W przenikliwej ciszy, jaka zapanowała, Silvia usłyszała nagle swój głos, podniesiony i gwałtowny:

- Przerwijcie to! Ono cierpi i może nawet umrzeć!

- Ależ oczywiście, że umrze - wyjaśnił Cadaver. - Przecież o to właśnie chodzi...

- Jak to? - Nie czekając na odpowiedź, zaczęła reanimować maleństwo, odcinając obumarłe ramiona, podając odżywkę, szukając antidotum...

- Silvio, zajmujemy się badaniem reakcji na bodźce emocjonalne. To wymaga poświęcenia paru egzemplarzy. - Nehemiasz przyglądał się jej z pasją badacza.

Skażona roślina straciła już wszystkie ramiona. Pozostała tylko łodyga, bezwładny odwłok, który opadł na stół i zaczął się wić, zostawiając na blacie zielony śluz... Silvia rozcięła go wzdłuż, próbując wziąć choć zaszczepkę, jednak cięcie odsłoniło gnijące wnętrze.

- Cóż, to już koniec. - Nehemiasz wrzucił salaterkę do utylizatora.

Osierocony egzemplarz zdrętwiał, kuląc gałązki...

IV.

- O co ci właściwie chodzi? Przecież wiedziałaś, czym są te formy, zajmowałaś się nimi na co dzień. Opiekowałaś się Nenią, wiedziałaś, że prowadzimy nad nimi eksperymenty.

- Nie! Nie miałam pojęcia, że one mogą czuć, że mają emocje, że cierpią...

- Przesadzasz. Jedyne parę chromosomów odróżnia je od glonów. - Wrócili do domu, wciąż nie mogąc się porozumieć. Krzątająca się wokół nich Nenia tylko zaogniała spór.

- Chcę wiedzieć jedno - Silvia wstrzymała oddech - tylko jedno. Powiedz, dlaczego je stworzyłeś, bo nie wydaje mi się, aby to powoływanie do życia nowych gatunków stanowiło priorytet twojej pracy dla White Sky...

Cadaver spuścił głowę. Silvia знаła ten ruch. Uwydatniał wrażliwość rysów jego młodej twarzy i w przeszłości wielokrotnie ją tym gestem ujmował. Ale nie dziś.

- Nie jesteś konstruktorką, nie zrozumiesz... - wyjąkał wreszcie, kiedy nalegała.

- Więc mi wytłumacz, proszę...

- Kiedy pracuje się długo nad projektem, przychodzi zmęczenie. A tego dnia przegrzały się łącza i musieliśmy czekać tyle godzin... No i... strasznie nam się nudziło...

- Stworzyliście nowy organizm, bo się wam nudziło?! - Oszołomiona przysiadła na posadzce. - A eksperymenty, dalsze mutacje... to też... z nudów?

Cadaver pokiwał głową.

- Skoro już daliście im życie... czy nie mogliście zostawić ich w spokoju? Musieliście w nie ingerować... bawić się nimi?

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? Z takim... takim wstrętem?

Odwrociła się.

- Wybacz, ale to zbyt potworne. - Wyszła na taras. Trzy słońca Moreaux zanurzały planetę w liliowej jednostajności. Wieczny spokój. Tutaj nigdy nie zapadała noc ani nie wschodził dzień. Żadna błyskawica nie przecięła nigdy nieba ani ulewa nie rosła skrawków gleby... Silvia wyciągnęła przed siebie długie ręce. Wpatrywała się w blade dłonie. Wydawały się jej przezroczyste niczym krajobraz Tagenonu. Popatrzyła na swoje odbicie w tafli basenu. Rozmywało się w jednostajnym świetle gwiazd Moreaux, w atmosferze planety...

Ja nie żyję - przemknęła jej przez głowę myśl. - Nie ma różnicy między mną a tymi megalitami... Mogłabym się w nie wtopić, tak jak zanurzam dłonie w stalściance...

Po czym wolno ruszyła w stronę domu.

V.

Cały poranek rzeźbiła i wykańczała megaron. Zdezynfekowała dłonie. Podlała sadzonki, oporządziła Nenię. Zamówiła obiad, przyrządziła zakąski. Nie przeoczyła niczego. Patrzyła, jak mąż delektuje się świeżymi langustami...

- Jesteś głodna, kochanie?

Sprzątnęła. Wymyła.

- Wyglądasz na zmartwioną, może skusisz się na deser? - Wydobył z akwarium miodonośną muszelkę. Wpił zęby w skorupę... - Wiesz, smakuje jakoś dziwnie. Nie jest słodki...

- Nie.

Spojrzał na nią pytająco. Nigdy jej takiej nie oglądał. Spokojnej. Smutnej...

- Nie jest słodki, bo to nie *murex mellifer*, lecz *maleficus*...

- Nie... mówisz... poważnie... - zachłysnęła się.

- Ależ tak. - Uśmiechnęła się. - Czujesz to już, prawda? Czujesz ból, czujesz ogień przesywający twoje ciało... Bo to już nie somata, to twoje ciało, jedyne, jakie ci pozostało... Nie możesz się zresomatować...

Cadaver dotknął ręką swego skażonego czoła... Pulsowało... Zaczynał pojmować...

- Przekłęci Richardsonowie... - wyszeptał.

- Po trzykroć przekłęci... - przytaknęła - oni i my... Dlatego zniszczyłam nasze matryce... Nie odrodzimy się już... Zresztą, i tak nie ma to znaczenia, bo my nie żyjemy naprawdę... W jednym zgadzam się z Lamią, nie ma już ludzkości... bo my nie jesteśmy ludźmi...

- Zastanawiałeś się kiedyś - podjęła na nowo - dlaczego niebyt stał się dla nas osiągalny... Dlaczego tak łatwo możemy do niego przechodzić... a nawet stamtąd wracać. Zatarła się granica między istnieniem, a nieistnieniem...

- Ale ja... ja... - Głos uwiązł mu w gardle. Dostał napadu duszności.

- Ty już dawno przestałeś istnieć. Próbowaleś się ożywić pracą, kolejnymi projektami... a nawet stwarzając te istoty... tak jak Richardsonowie usiłowali wskrzесиć się w swych własnych dzieciach... Zacerpnąć trochę ich świeżości, naturalności, spontaniczności, nim dorosną i staną się tak samo sztuczne, płaskie i pozbawione uczuć jak oni...

- A... ty... sama? Jak... jak... - Wijąc się z bólu, upadł na posadzkę.

- Jak udało mi się zachować w sobie życie... Po tylu stuleciach... - Poglaskała go po głowie. Klęknięta i przytuliła do siebie. - Cadaverze, jeśli tego nie wiesz i nawet się nie domyślasz... To znaczy, że naprawdę jesteś już od dawna martwy... Ja też umarłam... wczoraj, kiedy pojąłem, kim jesteś... Moje uczucie umarło jak rosnący na skraju pola kwiat, ledwo tknięty mijającym pługiem... - wyszeptała...

Odczekała, aż ustaną ostatnie drgawki, potem przeniosła jego ciało nad ocean. Wzięła z laboratorium wszystkie salaterki i wrzuciła je do wody... Zadrzały z euforii, gdy tylko dotknęły lśniącej tafli... Następnie poleciała Neni i przynieść dłuto...

- Chodź, Nenio, dzisiaj dam ci wolność. Nie tylko zresztą tobie. Dam ją wszystkim, wszystkim stworzeniom żyjącym w oceanie. Wystarczy niewielka zmiana, czynnik mutagenny. Cokolwiek się wydarzy, będzie to lepsze niż naukowy terror Lamii Richards... Nawet jeśli okażecie się bardziej krwiożercze od istot zwanych niegdyś ludźmi... spełnicie moje oczekiwania - pomyślała o ścianach

megaronu. - W końcu też potrafiłaś Nenio, tworzyć piękno. Kiedyś twoje dzieci może sobie o tym przypomną. Płyn... - pożegnała ją, a potem wzięła dłuto i przebiła sobie serce. Wpadając do wody, pociągnęła za sobą trupa Cadavera...

Nenię zalała fala ciepła, słona ciecz oblepiała jej ramiona, przenikając aż do komórek, aż do rdzenia. Syciła się tym nowym doznaniem, rosła w siłę, potężniała. A potem przyplłynął rekin. Nie wiedział, co kazało mu skierować się właśnie w tę stronę. Zatracił instynkt zabójcy, ale jego dręczyciele nie pozbawili go naturalnych zdolności wyczuwania kropli krwi w oceanie. Ujrzał przed sobą bezwładne ciało. W tych żyłach jeszcze pulsowała krew...

Niebawem zjawili się jego bracia. Tak ponownie rodziło się życie.

Barbara Ludwiczak